

**ZOFIA
ŻURAKOWSKA**

SKARBY

Zofia Żurakowska

Skarby

http://www.litres.ru/pages/biblio_book/?art=23553394

Skarby: Fundacja Nowoczesna Polska;

Аннотация

Żywy obraz świata, którego już nie ma. Polowanie na duchy, zagadkowa grotta i najprawdziwszy skarb! – to tylko niektóre z atrakcji, które czekają na Olka, Martę, Nika, Toma i Anię podczas wakacji w rodzinnym Niżpolu. Tajemnice, produkcja konfitur, trudny wybór, czy bawić się w atak Tatarów, czy potop szwedzki – Zofia Żurakowska bez lekceważenia opisuje dziecięcy świat z jego radościami i smutkami. Lektura obowiązkowa dla każdego, kto chce się dowiedzieć, co czytała młodzież w okresie 20-lecia międzywojennego. Książki Zofii Żurakowskiej, choć dziś nieco zapomniane, cieszyły się wtedy dużą popularnością – trafiły na listę lektur szkolnych, a sama autorka otrzymała nagrodę ministerialną za twórczość dla młodzieży. Żurakowska zmagiała się z gruźlicą, podczas pobytu w sanatoriach zaczęła pisać. Skarby i Pożegnanie domu to dwie części nieukończonych trylogii opartej na jej wspomnieniach. Trzecia, Nieporozumienie, nigdy nie wyszła poza sferę notatek – autorka zmarła w 1931 roku.

Содержание

Rozdział I. Po którym nie należy sądzić o pozostałych	5
Rozdział II. Tom i bilet	10
Rozdział III. Nasze domy	16
Rozdział IV. Nik i dusza	22
Rozdział V. Monsieur Martin	27
Rozdział VI. Na jeziorze	33
Rozdział VII. Julcia	44
Конец ознакомительного фрагмента.	46

Zofia Żurakowska

Skarby

Tam skarb mój, gdzie serce moje
Dla Ani

*– Miła oku, a licznym rozżywiona płodem
Witaj, kraino mlekiem płynąca i miodem —*

Rozdział I. Po którym nie należy sądzić o pozostałych

– Przecież już jest wiosna! – rzekł Olek, wyglądając przez otwarte okno sali jadalnej na rosnące w podwórzu kasztany. – Jest już wiosna, pączki lada chwila popękają, wiśnie w Niżpolu już na pewno kwitną, a pola są zielone i miękkie jak atlas. A my siedzimy w Warszawie! A to wszystko dlatego, że ja chodzę do szkoły. Bodajby piorun trzasnął tę szkołę!

Marta, która właśnie nalewała dla kota mleko na spodek swej filiżanki, choć miała to surowo wzbronione, postawiła ów spodek pod stołem i rzekła ze smutkiem:

– Na pewno jest teraz mnóstwo małych kurcząt i żółtych kaczuszek, jak przyjedziemy, już będą duże!

– Wolałbym nie mieć jeszcze trzynastu lat! Uczyłbym się w domu i siedzielibyśmy jak dawniej cały rok w Niżpolu – dodał Olek z głęboką goryczą. – Głupi byłem, ciesząc się z tej szkoły, wielka pociecha być dorosłym i siedzieć całą wiosnę w mieście. A teraz w dodatku spóźnię się na łacinę – dodał, rzucając okiem na zegar. – Zresztą nic mnie to nie obchodzi, chciałbym, ażeby mnie wyrzucili! Przynajmniej wrócilibyśmy zaraz do Niżpola.

– Och, Olku! – jęknęła zgorszona Marta, ale w tej właśnie chwili weszła matka i z uśmiechem pełnym radosnego zawstydzienia rzekła:

– Dzieci, zdecydowaliśmy z ojcem, że pojutrze jedziemy do Niżpola. Olek skończy kurs w domu. Jest wiosna... – mówiąc to, matka wyglądała trochę jak przyłapany na gorącym uczynku figlarz, zarumieniony, ale i pełen uciechy.

Olek oszołomiony nagłą wiadomością w pierwszej chwili nie zrozumiał, a Marta uchwyciła matkę za rękę i spytała drżącym z radości głosem:

– Jak to, mamó, doprawdy pojutrze wracamy do Niżpola?

– Tak – odpowiedziała matka – właśnie pojutrze. Przez dziś i przez jutro trzeba zwinąć mieszkanie i spakować rzeczy, jeśli więc chcecie, ażebyśmy zdążyli, musicie dołożyć wszelkich starań, a głównie nie przeszkadzać starszym.

Teraz dopiero Olek zrozumiał, że to nie sen i z radości cisnął teczkę z książkami pod sam sufit.

Trzeba było czym prędzej oznajmić nowinę młodszemu rodzeństwu; puścił się więc do dziecinnego pokoju, przedeptując po drodze ogon kota, który nazywał się Mokronowski i lubił spokój.

Ale Marta chciała być pierwszą zwiastunką radosnej wieści, więc zamiast biec przez przedpokój, przeleciała przez sypialnię rodziców i wpadła do pokoju dziecinnego o jedną sekundę wcześniej niż Olek. Zasapana nie zdążyła jeszcze powiedzieć pierwszego słowa, gdy we drzwiach ukazał się Olek. Zobaczywszy Martę pierwszą, obraził się:

– Dobrze! Mów sobie sama! – wykrzyknął i odwrócił się plecami do pokoju z zamiarem wyjścia..

Teraz Marta się obraziła:

– Ależ nie! Proszę cię, mów! – Ania zaczęła się strasznie śmiać, a Tom, który pisał właśnie w pocie czoła „Mama kupiła maku”, położył pióro i zapytał:

– Co się stało?

Wtedy Olek i Marta zdecydowali się i powiedzieli jednocześnie:

– Pojutrze jedziemy do Niżpola!

Na te słowa powstał hałas nieopisany. Nik, Tom i Ania, pochwycając się za ręce, zaczęli tańczyć w środku pokoju, wyśpiewując na całe gardło pieśń małp z *Księgi Dżungli*, a Olek zatopił ręce w kieszeniach i patrząc z pogardą na niesforne rodzeństwo, rzekł:

– Oto są prawdziwe małpy. – Nim się jednak opamiętał, został schwycony za ręce i musiał tańczyć pospołu z rodzeństwem, śpiewając zwycięsko:

trop stracony
mniejsza o to!
my z ochotą
ciągniem siebie
za ogony!

Całe szczęście, że właśnie niania i panna Maria były w kuchni, inaczej nie wiem, jak by się to wszystko skończyło.

Tymczasem Marta, widząc, że te objawy dzikiej radości coraz gwałtowniejsze zaczynają przybierać formy, zawołała bardzo

głośno:

– Jeżeli nie uciszycie się natychmiast, nic wam już więcej nie powiem – uciszyło się więc i Tom rzekł:

– Mów – i nastąpiła chwila ciszy, bowiem Marta, Bogiem a prawdą, nie wiedziała wcale, co by tu powiedzieć; wkrótce jednak przypomniała sobie słowa matki, rzekła więc:

– Jeżeli chcecie, żebyśmy zdążyli wyjechać pojutrze, trzeba się o to postarać. Powinniśmy zgromadzić nasze rzeczy, zachować się przyzwoicie, pomagać starszym, a nie przeszkadzać.

– No tak, to już na dziś dosyć pisania – zawyrokował Tom i włożył kajet do szuflady, gdzie w największym porządku, jedne obok drugich leżały ołówki, gumki, farby, papiery, sznureczki, buteleczki od perfum, zepsute lampki elektryczne i tysiące potrzebnych rzeczy, które zapobiegliwy Tom gromadził, mając najgłębsze przekonanie, że wszystko przydać się może w odpowiedniej chwili.

Wszystkie te osobiste drobiazgi postanowił spakować w wielkie pudło od klocków i właśnie zaczął zabierać się do tej czynności, gdy spotkało go wielkie rozczarowanie. Panna Maria, powróciwszy z kuchni, zdziwiła się bardzo, iż przerwano lekcje, i kazała natychmiast do nich powrócić.

– Na pakowanie czas jeszcze będzie, przede wszystkim trzeba spełnić swoje obowiązki – oznajmiła.

Tak, i ten dzień wyjątkowo trzeba było spędzić jak każdy inny, toteż dzieci poczuły się pokrzywdzone. Olek spóźnił się do

szkoły, Nik dostał trójkę za nieuwagę, wszystko poszło źle i zdaje mi się, że wieczorem nikt nie był zadowolony ani z dnia, ani z siebie.

Rozdział II. Tom i bilet

Naprzód pojechali na stację: Jan, Marysia, Brygida, Mokronowski i rzeczy, potem ojciec z Olkiem, Martą i Nikiem dorożką, a na końcu powozem: matka, panna Maria, Tom, Ania i fok.

Na stacji było jak zwykle straszne zamieszanie. Z trudem się odnaleziono i umieszczono wygodnie; matka z dziewczynkami i panną Marią w jednym przedziale, ojciec z chłopcami i foksem w drugim.

Ze dwadzieścia razy przybiegł jeszcze Jan z przeróżnymi paczkami i pytaniami, z pięć razy przybiegła Marysia; Brygida, ma się rozumieć, nie ruszała się już wcale ze swego wagonu, w śmiertelnej obawie, że zostanie.

Parę razy jacyś państwo chcieli wsiąść do tego samego przedziału, ale ojciec bronił go mężnie i musieli pójść dalej; nareszcie wszystko się uspokoiło i pociąg ruszył.

Prawie zaraz potem Nik z Tomem pobili się przy oknie, Nik bowiem usiadł na stoliku i zasłonił sobą całe okno tak, że nikt już więcej prócz niego nie mógł wyglądać; Tom naturalnie chciał również oddać się tej najmilszej w kolei czynności, a że Nik nie uważał na jego grzeczne prośby, pociągnął go więc zniehacka za nogi. Nik spadł, ale przewrócił sobą Toma na ławkę, przy czym dał mu parę porządnych szturchańców.

– Wstyďte się, chłopcy! Ledwo ruszyliśmy, a już

rozpoczynacie kłótnie – zgromiła panna Maria, wchodząc do przedziału. – Nik, usiądź tu z boku na ławce, to będziecie mogli razem wyglądać.

Ale Tom zniechęcił się do wyglądanania, siadł w rogu ławki i nadał się.

Tymczasem ojciec powrócił z drugiego przedziału, usiadł, wyjął z kieszeni bilety i zaczął je przeliczać. Tom przysunął się do niego.

– Który bilet jest mój, papo? – zapytał.

– Ten, który sobie wybierzesz, mój mały – odparł ojciec z uśmiechem.

– Jak to? Który sobie wybiorę? Więc proszę papy mi dać ten bilet.

– Dobrze, ten właśnie może być twój, ale ci go dać nie mogę, bo zgubisz. Schowam go tu do kieszeni, a kiedy przyjdzie konduktor, powiem, że ten właśnie jest twój – odparł ojciec.

Ale Tom się uparł:

– Nie zgubię, papo, słowo daję, że nie zgubię. Schowam go doskonale. Och, proszę mi go dać!

– No dobrze – zgodził się ojciec – pamiętaj jednak, Tomku, że jeśli go zgubisz, będziesz musiał wysiąść na najbliższej stacji. Nic nie pomoże! Bez biletu jechać nie pozwolą nikomu.

Tom wziął bilet i schował go do kieszeni spodni, ręki jednak nie wyjmował z kieszeni, aby dobrze czuć pod palcami twarde jego końce. Chwilę siedział napuszony i dumny. W końcu jednak nie wystarczyło mu wewnętrzne poczucie własnej

odpowiedzialności i wagi. Postanowił zaimponować innym. Wstał więc i przeszedł do przedziału dziewczynek.

– Czy masz swój bilet? – spytał Marty z pozorną niedbałością w głosie.

– Swój bilet? Nie, nie mam – odrzekła Marta bez wzruszenia i wskoczyła na ławkę, by położyć beret w siatce.

Tom zniżył się do Ani, pewien tym razem efektu.

– Aniu, czy masz swój bilet? – powtórzył pytanie.

– Nie mam – powiedziała Ania i spojrzała na Toma z zaciekawieniem.

Wówczas Tom wyciągnął z kieszeni biały, sztywny kawałek kartonu i rzekł z godnością:

– A ja mam!

– To jest bilet? Prawdziwy? – zapytała Ania, dotykając go paluszkami.

– Nie dotykaj, bo zgubisz – rzekł Tom pełen powagi i majestatu – a wówczas musiałbym wysiąść na najbliższej stacji. Nie mógłbym przecież jechać bez biletu!

– Mógłbyś wleźć pod ławkę – rzekła, śmiejąc się, Marta – a tymczasem puść mnie do okna.

– To nie byłoby uczciwie! – zaprotestował Tom.

– Owszem, bo przecież bilet naprawdę jest kupiony, a gdyby zginał, to byłby tylko wypadek.

Tom nie był przekonany; zawrócił i wyszedł na korytarz. Bilet swój schował do kieszeni kurtki, ale po chwili nie wydało mu się to bezpieczne. Wyjął więc chusteczkę do nosa, zawinął nią bilet

i schował do kieszeni spodni. Potem zaczął wyglądać oknem.

Było niezmiernie przyjemnie patrzeć, jak wszystko ucieka przed oczu z szybkością niepomiarną, jak dym wielkimi kłębamii przelatuje, układając się w najdziwaczniejsze kształty i formy, jak widok zmienia się z sekundy na sekundę. Drzewa, chaty, słupy uciekały zawrotnie szybko i patrząc na nie, Tom rozmyślał nad tym, jak dobrze jest być małym człowieczkiem i pędzić naprzód godzinami bez najmniejszego zmęczenia.

– Ale ta biedna lokomotywa to już sapie! – przewinięło mu się przez odurzoną myśl.

Napatrzywszy się do syta, wrócił do przedziału. Olek właśnie zabierał się do książki, a Nik rozparty na ławce starał się dobrać jakąś melodię do skocznego taktu pędzących wagonów. Ojciec czytał gazetę.

– Chłopcy, oto macie bułeczki z szynką i czekoladę – rzekła panna Maria, wchodząc i położywszy dwie serwetki na stole, wyszła. Olek i Nik, bliżej siedzący, schwycili serwetki, okryli się i zaczęli jeść. Tom zaś wyjął chusteczkę, rozpostarł ją na kolanach i zabrał się również do jedzenia. Potem wstał, wytarł usta i wyszedł godnie na korytarz.

Wtem drzwi przeciwległego końca wagonu otworzyły się i weszli dwaj konduktorzy; zaraz też odsunęli drzwi pierwszego z brzegu przedziału i Tom usłyszał głos:

– Proszę o bilety.

Wtedy przypomniał sobie bilet i spokojnie włożył rękę do kieszeni, ale pod palcami poczuł tylko chusteczkę. Wyjął ją

więc i wytrząsnął. Nic nie wyleciało. Tom włożył rękę do drugiej kieszeni... scyzoryk i sznurek... do kieszeni górnych... kalendarzyk, notesik!

W śmiertelnym przerażeniu Tom przypomniał sobie, że w przedziale wyjmował chustkę do obtarcia ust, wszedł więc nieśmiało i spojrzał na podłogę, potem pod ławkę, potem na ławki... nigdzie! Rozejrzał się: ojciec i Olek czytają, Nik wygląda oknem.

Tymczasem kroki konduktorów już blisko. Tom wykrztusił więc:

– Papo...

– A co, Tomku? – spytał ojciec zza gazety.

– Zgu... zgubiłem mój bi... bilet! – gazeta uchyliła się i ojciec spojrzał zdziwiony.

– Zgubiłeś bilet? Ależ to niemożliwe!

– Tak... zgubiłem!

– Nigdy w to nie uwierzę! Przecież miałeś go tak dobrze schować! Poszukaj, tylko starannie.

Wówczas Tom wyrzucił jedną kieszeń, potem drugą, potem obie kieszenie kurtki. Wyleciało dużo rzeczy, ale biletu nie było.

Tom siadł na ławce i zaczął rzewnie płakać.

Ojciec tymczasem rzekł stanowczo:

– Będziemy musieli zatrzymać pociąg i wysadzić cię, nie ma innej rady!

Rozpacz ogarnęła Tomka. Pozostać tu, gdzieś w polu, sam jeden? Może jeszcze na całą noc? Nie, nigdy!

– Papo – wyszochał – może bym mógł wleźć pod ławkę?

Wówczas stało się coś dziwnego, ojciec wybuchnął śmiechem, śmiał się tak, aż mu łzy spływały po twarzy. Śmiali się również Olek i Nik, aż Marta i Ania przybiegły z tamtego przedziału i także zaczęły się śmiać, choć same nie wiedziały czego.

Tom osłupiał. Łzy zawisły mu na rzęsach, a usta się otworzyły. Nie mógł zrozumieć, jak mogą się śmiać z tego, że on, mały, bezradny chłopiec będzie musiał zostać sam jeden w lesie albo na polu!

W końcu ojciec uspokoił się, przyciągnął Tomka i rzekł:

– Trwoga, którą przed chwilą przeżyłeś, niech ci będzie słuszną karą. Mam nadzieję, że zapamiętasz to sobie na przyszłość. Oto jest twój bilet; zgubiłeś go, wyciągając chustkę z kieszeni.

Kamień spadł z serca Toma. Ucałował rękę ojca.

Właśnie konduktorzy weszli i jeden powiedział:

– Panowie, proszę o bilety.

Tom wyciągnął swój i odwrócił się do okna, aby nie zobaczyli, że płakał.

Rozdział III. Nasze domy

Kiedy już minął pierwszy szal radości wywołanej przyjazdem, kiedy już dzieci jak rozbrykane źrebięta przebiegły cały dom, park, ogród owocowy, stajnie i obory, zebrały się wszystkie na końcu parku, w dużej, okrągłej altanie, utworzonej z wielkich, starych lip stojących kręgiem.

Liście na wszystkich drzewach były jeszcze malutkie i cudnie zielone, ciemne, pachnące fiołki pokryły cały trawnik nad stawem, że się wydawał fioletowy.

Powietrze napełnione było tym cudownym, świeżym zapachem wilgotnej, ciepłej ziemi, kwiatów wiosennych, na wpół rozwiniętych drzew, aż dzieciom piersi rozsadzała niepojęta radość i wesele.

Nik coraz to śpiewał i wykrzykiwał, aż echo niosło po parku, a Ania jednej chwili nie mogła ustać na miejscu, podskakiwała, kręciła się na jednej nodze, wywracała, tarzała w wilgotnej trawie.

– Cy widzieliście scenięta Ledy? – zapytała. – Są to najładniejsze scenięta na świecie! I jeden jest mój. Tak, Tomie, naplawdę mój. Papuś mi go dalował!

– Ech! Co tam twoje „scenięta” – rzekł lekceważąco Tom – ale co za cudownego źrebaka ma Sułtanka! To dopiero jest na co patrzeć. Prawda, Olek?

Ale Olek w tej chwili był bardzo zajęty, złapał bowiem małą,

zieloną żabkę i przyglądał się jej tak, jakby nigdy w życiu zielonej żabki nie widział.

– Olek, chodźmyż nareszcie do naszych domów – zaproponował Nik.

– Przypatrz się tylko, Niku, co za śmieszna żabka, mokra, śliska...

– A... podoba ci się tak bardzo? Masz ją! – zawołał Nik i nim się Olek spostrzegł, pochwyił żabkę i wpuścił ją bratu za kołnierz. Olek wrzasnął jak opętany, czując, jak mokre, zimne stworzenie zsuwa mu się po piersiach do pasa i rzuca niespokojnie w okolicach żołądka.

Podsakując nerwowo, rozpiął energicznie bluzę, krzycząc wciąż, zapuścił rękę za koszulę, złapał niewinne stworzenie i cisnął daleko od siebie. Potem puścił się za Nikiem, który przezornie nie czekał na wynik całej sprawy. Że miał dłuższe nogi dopadł go przy murze i obaj potoczyli się po trawie, nie żałując sobie kuksańców, ku wielkiej uciechu Ani i Toma, którzy pokładali się ze śmiechu, patrząc na tak zajmujące widowisko. Marta jednak nie lubiła tego rodzaju przyjemności, rzuciła się więc między braci jako rozjemca, przy czym oberwała sporo na własny rachunek.

Po paru chwilach wszystko się uspokoilo, chłopcy wstali, otrzepali ubrania, przygladzili włosy i wszyscy razem zgodnie udali się do „swoich domów”.

Osobiste domy dzieci znajdowały się w sadzie pod postacią wspaniałych, rozłożystych jabłoni. Każde z nich miało swój dom

o większej lub mniejszej ilości pokojów i pięter, zależnie od szczęścia. Jaki kto sobie obrał dom, przy takim musiał pozostać przynajmniej przez tydzień, pod grozą utraty szacunku innych.

Olek, Marta i Tom wiernie trzymali się swoich siedzib od lat już wielu, ale Nik nie mógł jakoś miejsca zagrzać. Mieszkał już w ciągu burzliwego swego żywota w wielkich kamienicach o czterech i więcej piętrach, to w parterowych lepiankach, to w zgrabnych pałacykach o szerokich, wygodnych gałęziach, przepraszam – pokojach, to znowuż w gotyckich apartamentach niesłychanie podobnych do starych grusz.

Olek pogardzał podobną zmiennością upodobań, był już jednak ustalony zwyczaj wybaczenia Nikowi więcej niż innym.

Nikowi zaś każde nowe mieszkanie wydawało się z początku idealne i niezmiernie przyjemne, właśnie najlepsze i z pewnością ostatnie; po upływie jednak pewnego czasu spostrzegał nowe, bardziej urocze i po krótkich wahaniach przenosił się ku zgorzeniu rodzeństwa.

Olek był w swoich upodobaniach stały, kochał swój dom. Od dawien dawna zajmował jedną i tą samą jabłoń, a raczej dom, o dwu piętrach, niedaleko muru. Na lewo od wieków sąsiedował z Martą, która była wierna swemu pawilonowi, gdyż zawsze zadowolona była z tego, co miała i nie pragnęła nigdy więcej ani inaczej.

Tom zaś był stały przez miłość własną... Oto kiedy obejmował swój dom w posiadanie, wszyscy starali się go od tego odwieść. Olek twierdził, że jabłka, które drzewo rodzi,

są kwaśne, Nik – że dom jest stary, że tę a tę gałąź na wprost uschniętą trzeba będzie zrywać, a więc zmniejszy się ilość pokoi, że mrówek na nim więcej niż gdziekolwiek, a całość w ogóle robi wrażenie fatalne!

Ale Tom się uparł; upodobał sobie to stare, powyginane drzewo o gałęziach pokręconych dziwacznie i odtąd, pomimo że ogrodnik w istocie odpiłował jedną gałąź, pomimo że jabłka okazały się nie tylko kwaśne, ale i robaczywe, pomimo że mrówek było więcej niż gdzie indziej, a całość robiła wrażenie fatalne – trwał na stanowisku.

Daremnie Nik go nęcił, wskazując to a to drzewo bez porównania bardziej zachęcające. Tom był jak opoka, wołał spróchnieć razem ze swym drzewem i wraz z nim się zwalić, aniżeli dać za wygraną i przyznać, że zły zrobił wybór.

Ania znów była niesłuchanie chwiejna w swych gustach; ile razy ktoś ze starszego rodzeństwa zachwalił dom jakiś, wnet Ania pałała chęcią posiadania go, choć włączyć mogła za ledwie na najniższą gałąź. Zawsze jej się zdawało, że wszyscy mają domy lepsze od niej i zwykle dziedziczyła przybytki zmiennego Nika, z których wszakże niewiele mogła korzystać, albowiem zbyt były niedostępne na jej czteroletnie nogi.

Jabłonie w sadzie jeszcze nie kwitły, za ledwie wiśnie osypały się białym, puszystym kwiatem, tak delikatnym jak to pierwsze tchnienie wiosny, a tak radosnym jak uśmiech dobrego dziecka. Białe kule kwitnących wisien, pachnące i urocze, napełniły dzieci radością i weselem. Prawie że zapomniały o celu swego

przybycia. Stały z zadartymi w górę głowami, wchłaniając rozkoszny, delikatny zapach. Nik westchnął głęboko i rzekł:

– Jest tak cudnie, że aż coś boli!

Ale Olek ofuknął go:

– Dziwak jesteś! Cóż cię ma boleć!

Nagle wszystkie dzieci krzyknęły z oburzenia: oto Ania nagięła ku sobie białą, rozkwitłą gałązkę i złamała ją, nieświadoma zła, które czyni.

– Wstydz się, Aniu – wołał Tom, zacisnąwszy pięści – wstydz się! Złamałaś kwitnącą gałąź. To musi ją strasznie boleć!

– Mój Boże, taka śliczna gałązka – westchnął Nik, a Marta dodała z przekonaniem:

– To wielki grzech niszczyć kwitnące drzewo.

Ania przeraziła się bardzo. Stała na środku ścieżki, kręcąc niepewnie ułamaną gałązkę... Miała wielką ochotę rozplakać się, ale ambicja nie pozwalała jej na to. Dzieci zaś stały naokoło, trzęsąc głowami nad nią i nad jej gałęzią. W końcu zdecydowano wyruszyć do domów. Ania poszła ostatnia i puściła nieznacznie gałąź na ziemię, by zapomnienie pokryło tę sprawę, ale Tom, który zawsze wszystko widział i był nielitościwy, krzyknął:

– Tak, po to ułamała, żeby teraz rzucić! Brzydka dziewczyna!

Naturalnie tego już Ania znieść nie mogła, powiedziała krótko:

– Jesteś gorszy od Heroda! – zawróciła na pięcie i poleciała do domu.

– Bardzo dobrze – rzekł Tom obojętnie, choć mu porównanie

nie poszło w smak, podniósł gałązkę i w kilku skokach dogonił dzieci, które dotarły do domów, Olek już nawet siedział w najlepszym pokoju ponad drogą i z zadowoleniem rozglądał się po okolicy, Nik ze zwinnością wiewiórki latał po swym ostatnim domostwie, a Marta spokojnie i statecznie sadowiła się między dwoma potężnymi konarami. Tom obszedł swą rudere wokół, wyrwał przez chustkę parę pokrzyw broniących wstępu i dostał się do przedpokoju. Potem podniósł głowę i poczuł najwyraźniej, że coś się zmieniło; bo czyż możliwe, żeby dostawał się wyżej przy pomocy tej tam gałęzi, której zaledwie dosięga palcami? Mój Boże, cóż to się stało? Naturalnie! Odpiłowano gałąź stanowiącą schody! Tom zlął z drzewa, siadł na trawie i gorzko zapłakał.

– Tom, co się stało? Czego ryczysz? – zapytał niezbyt uprzejmie Olek.

– Moje schody... mój dom!...

– Masz też czego płakać! – rzekł pogardliwie Nik. – Stara była rudera, wszystko się waliło!

Marta zeskoczyła z drzewa, kucnęła obok Toma i ocierając mu twarz fartuszkim, starała się pocieszyć go.

– Tyle jest przecież innych, ładniejszych drzew.

Ale Tom był niepocieszony. Zresztą wszystko się nagromadziło, żal złamanej gałęzi, złość na Anię za Heroda, teraz ten dom! Słowem, Tom nie dał się ukoić, wstał i bardzo smutny poszedł do parku, aby nie patrzeć więcej na inne jabłonie, które sobie obrzydził.

Rozdział IV. Nik i dusza

Któregoś dnia ojciec zawołał chłopców do swego gabinetu.

Weszli obaj niespokojnie, przypominając sobie na gwałt, co który w ostatnich czasach zbroił i robiąc odpowiednio skruszone miny.

Ojciec pisał coś właśnie, musieli więc chwilkę czekać, którą to chwilę Olek wyzyskał na przygotowanie możliwej ilości wykrętów, a Nik na skruchę.

Tymczasem ojciec powiedział chłopcom, iż oto jutro przyjeżdża do Nizpola *monsieur* Martin, nowy ich profesor i opiekun. Ojciec powiedział nadto, że *monsieur* Martin ongiś wychował jego i stryja Henryka, że jest to człowiek już niemłody, ale bardzo mądry i dobry, że trzeba go będzie słuchać bezwzględnie i starać się nie robić mu przykrości. Potem ojciec zapytał, czy dobrze zrozumieli, czego od nich wymaga i czy obiecują stosować się do jego życzenia. Ale Olek i Nik tak byli zaskoczeni tą wiadomością i tak przerażeni niespodziewaną opieką, że tylko mruknęli coś niewyraźnie. Ojciec zmarszczył brwi.

– Jak to? Proszę głośniej! Czy obiecujecie mi szanować i słuchać pana Martin, który dla mnie i waszego stryja był niezmiernie dobrym i zastępował nam ojca?

– Obiecujemy – rzekł Olek bez zapału, a Nik dodał „obiecujemy go szanować”, po czym wyszli z gabinetu, czując

zresztą dobrze, że ojciec nie jest z nich zadowolony. W milczeniu minęli salon i zatrzymali się w sali bilardowej; tu Nik nie wytrzymał i zgrzytnął:

– Tak! Właśnie! Będziemy mieli nudnego starucha, który będzie za nami łąził wszędzie i nic już nie będzie wolno robić, nic... nic!

Olek był również wściekły:

– Do kroćset! Myślałem, że choć jedno lato obejdzie się bez opieki! I w dodatku obiecał mi go słuchać!

– Wcale nie obiecywałem! – krzyknął Nik.

– Nie obiecałeś? Niku, jak możesz tak kłamać!

– Wcale nie kłamię – rozindyczył się Nik – obiecałem go szanować, nic więcej, zupełnie nic!

Olek oniemiał, ale po chwili zapalał świętym oburzeniem:

– Ale ja, ja odpowiedziałem na oba pytania papy: „obiecujemy”, to znaczy my obydwaj obiecujemy: „szanować i słuchać”.

– Trzeba było mówić tylko za siebie! – krzyknął Nik, potem wyleciał pędem i ulżył sobie, trzasnąwszy drzwiami.

W ogóle był wściekły i nawet nie wiedział, co z sobą zrobić. Swoim zwyczajem puścił się przez park na łączki. Po drodze myślał:

No, bo to lato układało się znakomicie! Przede wszystkim wyjechali dużo wcześniej z miasta niż to było w projekcie, potem panna Maria dostała od rodziców urlop na miesiąc i wyjechała, a że niania, ma się rozumieć, zajmowała się tylko Anią, więc Nik

i Olek używali swobody!

A teraz? Mój Boże, wszystko się miało skończyć!

Nik w myśli nazwał pana Martin nieznośnym pokraka, korniszonem, ropuchą i wielu innymi szkaradnymi wyzwiskami, których wolę nie powtarzać.

Pędził przez park wzburzony, bijąc piętami ziemię, aż się robiły głębokie ślady w świeżo gracowanych¹ ścieżkach. W końcu dopadł do łączki i rzucił się jak długi na wał otaczający fosę.

Pograżył się cały w wysokiej, wilgotnej trawie, pachnącej delikatną wonią rozkwitłych wiosennych kwiatów. Zerwał z pasją garść różnego zieleń, które się pochyliło nad jego głową i rzucił w bok. Potem leżał nieruchomy, żując w sobie złość.

Naokoło śpiewały ptaki. Wilga gdzieś niedaleko pogwizdywała radośnie i ochoczo, aż zdało się przez chwilę Nikowi, że to Olek go nawołuje, taki był bowiem między nimi umówiony znak. Gdzieś dalej dzieciół coraz to zastukał w kore, a potem skrętnie wyszukiwał wijących się robaczków.

– Wstrętny staruch! – pomyślał Nik, o panu Martin naturalnie, nie zaś o dziecióle – będzie ciągle nad nami ślezczał.

W tejże chwili jednak ogromny biały motyl siadł tuż obok niego na delikatnej różowej smółce, aż się zachybotła pod ciężarem jej lepka, ciemna łodyga. – Czy to prawda? pomyślał

¹ *gracowany* – uporządkowany za pomocą *gracy*, tj. narzędzia o metalowych zębach przytwierdzonego do drewnianego trzonka; por. *gracować*: usuwać chwasty i płytko spulchniać ziemię gracz. [przypis edytorski]

Nik, że motyle żyją tylko kilka godzin? Czyż to możliwe, żeby ten cudny, biały motyl o skrzydełkach pociętych niebieskimi żyłkami, śliczny, smukły, lekki, miał lada chwila leżeć gdzieś martwy, między wysokimi trawami? I czy to prawda, czy to możliwe, aby nie miał duszy? Umrze taki motyl biały i koniec! I nic po nim nie zostanie prócz tej pary biednych, zwiotczałych skrzydeł!

W tej chwili wzrok Nika padł na urwaną wiąź ziela, którą w pasji cisnął; pięć czy sześć długich, wykłoszonych traw, bażka jedna różowa, słodka, pachnąca i dzwonek o kieliszkach miękkich, zwiędniałych. Oto wyrwał swawolną ręką taką garść traw, pozbawił życia i cisnął, zgoła mu niepotrzebną!

Bo zresztą to wcale nieprawda, aby owady, zwierzęta i rośliny nie miały duszy! Po cóż by żyły?

Nik siadł cały wzburzony i głęboko przejęty. – Po cóż by latał taki biały, lekki motyl, skoro po paru godzinach już nic nie ma po nim pozostać? Po cóż by pachniał taki fioletowy dzwonek kielich, skoro pierwszy lepszy chłopak w złości albo dziewczynka do bukietu może go zerwać, i to miałyby być już koniec wszystkiemu!

Nik posłyszał szelest ponad głową. Spojrzał i uradował się: mała, brązowa wiewióreczka o oczkach okrągłych i latających wszczepiła się łapkami w gałąź i przyglądała ciekawie czemuś w dole. Nik zataił dech. Tymczasem wiewiórka jak piłka skoczyła wyżej, długi, puszysty jej ogonek tylko mignął wśród liści; znowu siedziała chwilkę, aż z szybkością zawrotną skacząc z gałęzi na

gałąź, zniknęła wesoła, zręczna, miłutka.

Nik powstał spokojny i z mocnym przekonaniem, że wiewiórki, motyle, trawy, kwiaty i w ogóle wszystko ma duszę.

Rozdział V. Monsieur Martin

Z rana chłopcy pobili się przy myciu. Olek chciał być pierwszy i Nik także, skończyło się na tym, że Olek pochyłonego Nika wepchnął do wanny. Właściwie nie skończyło się na tym, a od tego zaczęło, Nik bowiem, chcąc się zemścić, zatkał palcami kran i oblał Olka od stóp do głów, no, słowem zrobił z niego rynnę podczas deszczu. W czasie tego wszystkiego Tom najspokojniej nakładał dzienną koszulę, a przejął się ogromnym ruchem dopiero w chwili, gdy Olek łokciem pchnął go w brodę, broniąc się od strumienia wody, który pryskał mu w twarz. Tom obraził się w pierwszej chwili, a potem beknął.

– Zdaje mi się, Tom, że z ciebie nigdy nie będzie porządny mężczyzna – zauważył z pogardą Nik, wyłażąc z wanny i wycierając ręcznikiem zmoczoną koszulę.

– Ząb mi wybił! Jestem pewien, że mi wybił kilka przednich zębów...

– Och, babo wielkanocna! Nic ci nie wybił i możesz ubierać się spokojnie! – i dwaj starsi bracia przeszli wyniośle do sypialni w przykładowej zgodzie, zdaje mi się jednak, że nie bardzo umyć.

Zaledwie skończyli się ubierać, wbiegła Marta, wołając:

– Jedzie, jedzie, zobaczmy przez okno – i dopadłszy, uchyliła firanki. Nik skoczył także, Olek jednak nie dał się poruszyć, odwrócił się plecami do okna i starannie dociągał pasek.

– Nie jest jeszcze zupełnie taki stary – objaśniała Marta – ma

cienkie nogi i bardzo jest podobny do bociana. Nosi kamasze. Chodźże², Olek.

– Nie jestem ciekawy – odburknął chłopiec – napatrzę mu się i tak dosyć! Aż zanadto!

Usłyszawszy to, Nik spostrzegł się, że przecież on także miał okazać panu Martin najwyższą obojętność, zatem nie wypada mu być ciekawym, odszedł więc od okna i rzekł:

– Naturalnie jest obrzydliwy.

Potem wszyscy ruszyli na śniadanie. Olek starał się mieć wyraz twarzy uprzejmy, ale wysoce obojętny. Nik nadał się jak indyk, Marta szeroko otworzyła oczy i tylko Tom miał minę „na co dzień”, bo pan Martin mało go bardzo obchodził.

Wszystko to jednak chybiło celu, w sali jadalnej bowiem nie było nikogo prócz Jana i małego kozaczka Hawryłka, który miał uszy zawsze równie czerwone jak lampasy hajdawerów i lubił namiętnie wylizywać spodki z konfitur.

Nik skoczył do swego miejsca i zaproponował:

– Olek, jedźmy prędko i umykajmy.

Olek jednak zachował godność w tej ciężkiej okoliczności życiowej. Siadł spokojnie i pił swoją kawę z taką miną, jakby naprzeciw niego siedział *monsieur* Martin we własnej osobie.

Jakoż w parę minut weszła matka, za nią jakiś pan, dość wysoki, chudy i przygarbiony, i ojciec. Dzieci powstały z miejsc i odbyła się prezentacja oraz powitanie. Matka była tak jak zawsze wesoła, spokojna i miła, ojciec zaś bardziej niż zwykle ożywiony.

² *chodźże* – konstrukcja z partykułą wzmacniającą -że. [przypis edytorski]

Posadził starego pana obok siebie, przysuwał mu bułki, miód, masło, dolewał śmietanki.

W Olku i Niku wzbierała głucha złość. Przyjechał taki sobie stary pan, prawie nie zwrócił na nich uwagi, zawładnął ojcem, matką i w dodatku będzie za nimi chodził i wszystkiego zabraniał!

Monsieur Martin zaś mówił z ojcem o dawnych czasach, coś przypominał i opowiadał; ojciec coraz to śmiał się serdecznie, a matka słuchała, cała pogrążona i patrzyła na ojca rozrzewnionym, gorącym wzrokiem.

– A pamiętasz, *mon cher*, jakeście z Henrykiem ruszyli w podróż na księżyc? – mówił *monsieur* Martin.

– Pamiętam, naturalnie! Byliśmy mniejsi od Toma – zaśmiał się ojciec. – W nocy, w koszulach! Ale wzięliśmy suchary na drogę. O! świetnieśmy się zaopatrzyli, z wielką zapobiegliwością! Henryk miał w chusteczce nieodzowny scyzoryk, jabłko, cukier, a ja suchary i sznur na wypadek trudności przy włożeniu na księżyc. Tak, Marto – zwrócił się do matki – złapał nas za bramą stróż i odprowadził. Och, cóż to był za wstyd.

– Jakże byłem szczęśliwy, że na tym się skończyło, że nie zasłiście w tę noc ciemną gdzieś za wieś – rzekł *monsieur* Martin i patrzył na ojca jak na kogoś bardzo drogiego.

Ojciec, matka, *monsieur* Martin śmieli się, rozmawiali, przypominali. Czuć było, że im jest doskonale ze sobą, że przenieśli się do jakiejś nieznannej dzieciom przeszłości, z której

nie mają ochoty powracać. Nik pieniał się wewnątrz, a Olek złowrogo spoglądał na przybysza. Bo cóż z tego, że ojciec był niegdyś mały i płatał figle? Chłopcy wiedzieli o tym i bez pana Martin. Nieraz słuchali opowiadań o tych czasach i rzeczach! Bo to nawet nie ma sensu, aby ten stary pan, zupełnie obcy, znał ich ojca dawniej niż oni sami, rodzone dzieci! I Nik, i Olek czuli się głęboko pokrzywdzeni.

Tymczasem śniadanie się skończyło i ojciec polecił chłopcom oprowadzić gościa, profesora, po parku, by mógł zobaczyć wszystko, co się od tamtych dawnych lat zmieniło.

Nadęci jak dwaj mandaryni i bardzo godni, poszli chłopcy, milcząc, obok pana Martin aleją wiodącą ponad stawy.

Pan Martin zresztą wcale się o nich nie pytał i zdawał się nie spostrzegać kroczących obok niego utajonych wrogów.

W jakiejś chwili, gdy doszli już do jeziora i zapatrzyli się w lustrzaną jego taflę, rzekł z uśmiechem, który wyblakłe jego usta opromieniał dziwnym urokiem:

– Wiecie, chłopcy, tu dawniej był most – Olek udał, że nie słyszy, ale Nika to zaciekawiło:

– Jak to? – zapytał – w tym miejscu takim szerokim był most? Musiał być strasznie długi?

– Był bardzo długi – powiedział *monsieur* Martin – i bardzo ładny, można nim było przechodzić na wyspę i mniej się używało łodzi niż teraz.

– To nie było przyjemnie – rzekł krytycznie Nik.

– No tak – potwierdził profesor – cóż bowiem jest

przyjemniejszego od pływania po jeziorze, prawda Niku?

Nik zdziwił się przyjemnie, że pan Martin zapamiętał jego imię, ale nic nie odpowiedział, natomiast Olek, który chciał koniecznie protestować, rzekł:

– Owszem, jest wiele rzeczy miłszych, na przykład konna jazda!

Pan Martin nie podniósł dyskusji, zgodnie potwierdził zdanie Olka, co jeszcze bardziej zirytowało przygotowanego do walki chłopca.

– Kiedyż to tu był ten most? Nigdy o nim nie słyszałem – rzekł sceptycznie.

– Och, bardzo dawno, ja już go nawet nie widziałem. Dziadek wasz opowiadał mi o nim. Stawiał go wasz prapradziad, ten sam, który postawił wasz dom. Jak to zapewne wiecie, stał jeszcze wtenczas zameczek nazywany „ślepy”, gdyż wszystkie jego mury zewnętrzne nie miały okien, które wychodziły jedynie na wewnętrzny dziedziniec. Z tego też powodu zamek był tak ponury i ciemny, iż przodek wasz, bardzo z natury wesół, nie mógł w nim wytrzymać i wybudował obecny dwór, znacznie mniejszy naturalnie i skromniejszy od zameczku, ale za to jasny, o dużych oknach i odkrytych tarasach. Zapewne musieliście dużo o tym dziadku słyszeć. Był bardzo mądrym i dzielnym człowiekiem. Służył w Wielkiej Armii³, był w Egipcie, Hiszpanii... znacie go, prawda!

– Znamy – rzekł krótko Olek, ale było mu przyjemnie, że i

³ *Wielka Armia* – armia Napoleona Bonaparte. [przypis edytorski]

monsieur Martin tak dobrze zna dzieje ulubionego pradziada i że mówi o nim ze czcią i szacunkiem.

– A z zameczkiem co się stało? – zapytał Nik.

– Jak to, nie wiesz! – wykrzyknął z oburzeniem Olek.

– Nie wiem. Ale czego krzyczysz? – odparł zarumieniony Nik.

– Zameczek spalili kozacy⁴ po 63-cim roku⁵. Dwór tylko cudem ocalał. Nik nie może jeszcze wszystkiego wiedzieć, ma czas – rzekł p. Martin.

Szli tak długo brzegiem jeziora, a stary pan coraz to nowe rzeczy opowiadał, głosem cichym i pełnym zadumy. Czasem mówił tak, jakby wcale nie do chłopców, jakby zapominał, że idą obok niego. Nik musiał przyznać w głębi duszy, że miły mu był ten przyszyły tyran z siwą głową. Toteż gdy powróciwszy do domu, rozstali się w przedpokoju, rzekł do Olka:

– Olek, jak ty myślisz, co?

– No, cóż mam myśleć! Taki sobie!

– Ależ tak! – wykrzyknął Nik z entuzjazmem. Po chwili dodał:

– Wiesz i to nawet nic nie szkodzi, że znał papę wcześniej niż my, bo wcześniej znali go także i Gabro, i Brygida, i ciocia Halszka, i ksiądz proboszcz. Mnóstwo zresztą osób!

⁴ *kozacy* – tu: oddział lekkiej jazdy w wojsku rosyjskim. [przypis edytorski]

⁵ *po 63-cim roku* – tj. po powstaniu styczniowym. [przypis edytorski]

Rozdział VI. Na jeziorze

Któregoś dnia, wracając z ojcem z folwarku, dokąd jeździł konno, zobaczył Olek przed stajnią śliczny, czarny brek zaprzężony w czwórkę kasztanów.

– Oho! przyjechała ciocia Halszka – powiedział sobie, trzeba przyznać, bez wielkiej radości.

Ciocia Halszka przyjeżdżała dość często ze swymi dziećmi: Renią i Alim. Olek kochał śliczną, pachnącą, wytworną ciotkę Halę, ale do jej dzieci nie czuł szczególnego nabożeństwa. Rena i Ali byli także śliczni, pachnący, wytworni. Renia miała długie, czarne loki, ogromne szafirowe oczy, była jak śnieg biała i zawsze prześlicznie ubrana. O rok była od Olka starsza. Olek czuł się zawsze przy niej niezgrabny, brzydki, niezdarny i czarny jak Murzyn. Nie śmiał jej pocałować, by nie zostawić czarnej plamy na białym jej policzku, nie śmiał jej dotknąć, by czegoś nie rozerwać; cała jego rycerska odwaga i buta ginęły wobec tej delikatnej i dumnej dziewczynki.

Nie wiedział nigdy, jak ją zabawić, czym zainteresować. Dlatego jej nie lubił, nie cierpiał nawet, właśnie dlatego, że był wobec niej nieśmiałym, głupim i niezgrabnym. Ale Renia zdawała się nie widzieć tego wcale, w ogóle zdawała się nie spostrzegać nigdy Olka. Miała trochę pogardliwe usta i trochę przymknięte oczy.

Ali był w wieku Toma. Miał takie jak Renia podłużne,

szafirowe oczy, czarne, delikatne brwi. Był także śliczny, szczupły i wytworny, ale Boże, jakież to był ślamazara! O byle co... bek! Nawet Ania była przy nim wzorem hartu i odwagi. Ali nie umiał szybko biegać, ani skakać, zawsze mu było źle, niewygodnie. Mazał się, kaprysił, krzywił w każdej okoliczności życia. Jedynie Renia miała na niego wpływ i umiała nim rządzić.

Renia i Ali przyjeżdżali zwykle ślicznym, małym koczykiem zaprzężonym w siwe kuce. Mieli swego małego furmana, który siedział z tyłu, ze skrzyżowanymi na piersiach rękami. Mieli wszystko, o czym można marzyć. Pokoje ich były umeblowane białą, zasłane białym sukniem, mieli ogromną bibliotekę najpiękniejszych książek, ślicznie oprawnych. Słowem, mieli wszystko. Olek nie zazdrościł im. To, co sam miał, wystarczało mu, wolał Niżpol i jego stary, wygodny dwór od pałacu w Hołownie. Cieszył się z całej duszy, że miał Nika, Martę, Toma i Anię, zamiast płaksy Alego z całą jego czwórką siwych kuców... Nie lubił ciotecznej rodzeństwa i teraz na widok breku ciotki Hali nachmurzył się z niezadowolenia. Pamiętał jednak dobrze, jak srogą ongiś otrzymał burę, kiedy ojciec przyłapał go uciekającego na widok gości. Wiedział, że trzeba być gościnnym i uprzejmym, ruszył więc do domu. We drzwiach od ogrodu wpadł na niego rozpędzony Nik.

– Gdzież to ty lecisz? – zapytał podejrzliwie Olek.

– Lecę? Nigdzie! – zmieszał się Nik i aż poczerwieniał.

– Oho! już widzę, że wiejesz przed Renią i Alim! Zobaczyłeś przez okno i w nogi! Chciałbym, żebyś spotkał ojca!

– Ja? nigdzie nie wieję! – obraził się Nik – chciałem cię właśnie zawołać – i zawrócił z godnością do domu.

Wszyscy siedzieli w buduarce mamy. Ciocia Hala i mama na kanapce, ojciec w fotelu. Renia, Ali i Marta stali pod oknem.

– Boże, jak ten Olek rośnie – rzekła ciocia Hala – na pewno przerósł już Renię, a to niełatwo. Réne, chodź tu, zmierzcie się.

Olek zaczerwienił się po uszy, a Renia podeszła, stanęła obok niego i spojrzała obojętnie przez ramię.

– A co, nie mówiłam? – zaśmiała się ciocia. – Jeśli nie przerósł, to przerośnie lada dzień. Są już zupełnie równi, a w roku zeszłym sięgał jej po brwi. Trzymaj się Réne, pamiętaj, żeś starsza o rok.

– Ale Olek chłopiec – powiedział ojciec – powinien być większy.

– No, biegajcie po parku – rzekła ciocia – a rozruszajcie Alego, łobuzy.

Dzieci wyszły, milcząc, minęły salon i przez ogromne, oszklone drzwi zeszły na taras, a stamtąd do parku. Olek czuł się pokrzepionym na duchu tym, że przerósł Renię, którą uważał dotychczas za niedoścignioną. Nik ziewał skrycie, a Marta łamała sobie głowę, czym by tu wszystkim dogodzić.

– Kto tam pływa po jeziorze? – zapytała Renia, gdy przed oczyma dzieci rozpostarła się gładka, lśniąca tafla głębokiego jeziora.

– Pewnie Wicek – rzekł Olek, osłaniając dłonią oczy od słońca. – Płynie na tamten brzeg, bo dziś łowią ryby.

– Chodźmy zobaczyć – ożywił się Ali.

– Nie można pójść, bo za daleko, trzeba przepłynąć – objaśnił Nik, a tylko Olkowi wolno płynąć bez starszych po jeziorze.

– Och! nam także wolno – rzekła Renia – jestem starsza od Olka.

– Ale jesteś dziewczyna – odparł Olek – pewnie zresztą nie pytałaś o to papy, bo u was nie ma jeziora.

– Nie ma jeziora, ale jest staw i wolno mi po nim pływać. Biorę więc was wszystkich na swoją odpowiedzialność.

Olek poczuł się dotknięty w głębi duszy, ale bał się ujść za tchórza i dziecko, któremu nic nie wolno, rzekł więc wymijająco:

– Róbcie, jak chcecie.

Renia stała już w łódce i pociągała za sobą mocno zatrwożoną w swym sumieniu Martę, Nik kluczem przyniesionym z budki strażniczej otwierał kłódkę i spuszczał łańcuch, Olek więc pomógł wsiąść Alemu, sam wskoczył za Nikiem i odepchnął łódkę.

– Poczekajcie, poczekajcie na mnie! – dało się słyszeć przeraźliwe wołanie i z alei kasztanowej wypadł zziąjany Tom.

– Za późno – rzekła Renia, ale Olek zawrócił i dziobem stuknął w brzeg, aż Ali nosem uderzył w kolana Marty i uronił przy tej okazji kilka łez. Tom migiem wskoczył do łódki i rzekł z zadowoleniem.

– Wasza *mademoiselle* i niania siedzą w altanie, Ania bawiła się w piasku, ale może pobiegła za mną.

– Ci... cho! – syknął Nik – altana tu zaraz za tym bzem, żebyż

nie usłyszały!

Umilkli wszyscy i nawet Olek i Nik złożyli wiosła, spuszczać się na bieg wody, byle tylko przepłynąć niepostrzeżenie. Z altany dochodził wesoły głosik Ani, która śpiewała:

Chodzi, wodzi swe «kurczęta»
i o każdym z nich pamięta.

Wkrótce łódka była już daleko. Wypłynięto na środek jeziora.

– Wielka rzecz jezioro! – powiedziała Rena. – Za miesiąc jak co roku jedziemy nad morze i będę pływać, ile mi się tylko spodoba.

– Ale nie sama – rzekł Nik.

– O la la: jeżeli zechcę, to sama. Ali, nie przechylaj się na prawo, patrz, maczasz szarfę w wodzie.

Marta wyłowiła koniec szarfę Alego i rozpostarła na swoich kolanach, by prędzej wyschła. Zrobiła się cisza. Olek i Nik wiosłowali zawzięcie, wysiłkiem mięśni chcąc zgłuszyć wyrzuty sumienia, iż nie słuchają rozkazów ojca. Marta niespokojnie oglądała się na brzeg. Ali trwoźnie spoglądał w głębinę. Tylko Rena i Tom zachowali równowagę ducha. Tom, który siedział na dziobie, zatopił obie ręce w wodzie i cieszył się, że fale przepływają mu między palcami, Rena zaś położyła się na wznak na dnie łódki i patrzała w niebo.

Przepłynięto na ukos jezioro i łódka dobiła do przeciwległego brzegu. Bardzo było przyjemnie; przyglądano się z zachwytem

wielkim rybem, szczupakom, linom, karpom. Ciskały się w ogromnych kadziach i tłukły ogonami, wychlapując strugi wody na ciekawych, którzy za blisko podeszli. Ale najprzyjemniejszą była chwila, w której zmoczeni rybacy wyciągali na brzeg ciężką sieć. Z mułu i gałęzi, których była pełna, czarnymi rękami wyłapywali rzucające się, przerażone ryby, ważyli je w rękach zadowoleni z połowu i rzucali do kadzi. Nad wszystkim chodził czuwając Iwan, który z dawien dawna sprawował w Niżpolu urząd głównego rybaka i dozorca.

Nik sam wyjął z sieci sporego, oślizgłego szczupaka, ale ten chlasnął go po twarzy ogonem, wysliznął się ze słabych jeszcze rąk chłopaka i buchnął z powrotem w życiodajne jezioro. Wszystkie dzieci i rybacy wybuchnęli śmiechem, a Nik osłupiał na długą chwilę i stał, mrugając oczami pełnymi wody.

Długo przyglądano się temu wszystkiemu, ale w końcu trzeba było pomyśleć o odwrocie. Rena i Ali pobrudzili sobie trochę białe buciki, ale w ogóle byli zadowoleni i postanowili częściej przyjeżdżać na połów.

– No tak, muszę przyznać, że to bardzo miło – rzekła Renia, kiedy wracali do łódki – bardzo mi się tu podobało i ten wasz Iwan dosyć miły! Tylko Wicek to dopiero idiota! – dodała obrażona, bo Wicek śmiał zwrócić jej uwagę, że nadeptuje na małą rybkę.

– Nieprawda! – oburzył się Tom – Wincenty jest bardzo porządny i miły! Robi nam śliczne wiatraczki z drzewa, wózki i wszystko, co chcemy!

– Może on robi tam wiatraczki i wszystko co chcecie, ale jest zuchwały i głupi – uparła się Rena.

Tymczasem Ali ze swej strony pokłócił się z Tomem, Tom bowiem w zapale oburzenia chybotął łódką w sposób gwałtowny. Ali zaczął piszczeć, a Tom nazwał go Ali-Babą. Rena ujęła się za brata:

– Tom – rzekła – jesteś niegrzeczny i jeszcze przeżywasz!

– No, bo czyż on nie Ali! – zwrócił się Tom do rodzeństwa – jest Ali! A że baba, to także każdy chętnie przyzna!

Zagrażała kłótnia, na szczęście Marta zawołała:

– Popatrzcie tylko, jakie śliczne irysy na wyspie!

W istocie nad samym brzegiem na wyspie rosły wysokie, sztywne irysy fioletowe, żółte i odbijały się w wodzie.

– Mój Olku, mój kochany – zawołała Renia – podpłyn do wyspy, narwiemy sobie trochę irysów.

Olek, któremu pochlebiło, że Rena go o coś prosi, pchnął mocno łódź i w kilka chwil byli już pod cieniem rozłożystych, bujnych, pochylonych drzew okalających wyspę. Jakże miło i rozkosznie było płynąć w chłodnym ich cieniu, odsuwając tylko gałązki i liście znad głowy.

Kiedy już dotarli do wyspy, Renia wyciągnęła obie ręce, pochwytiła kilka irysów naraz i z całych sił pociągnęła ku sobie właśnie w chwili, gdy Tom ze swego końca robił to samo, i... nie wiadomo zupełnie, kiedy to się stało, nikt nie miał czasu krzyknąć, ani nawet mrugnąć, kiedy już łódka przewrócona do góry dnem odpływała powoli, a wszystkie dzieci były w wodzie.

Całe szczęście, że był to brzeg, gdzie tylko po ramiona było wody, całe szczęście, że mnóstwo gałęzi i korzeni zwieszało się w wodę i że wszystkie dzieci chwytające za nie wydrapały się na ziemię, krztusząc się i plując, podrapane i przemoknięte do nitki,

Wszystkie... z wyjątkiem Alego! Kiedy więc oprzytomniały nieco, wypłuły muł i wodę z ust i otarły zalane oczy, rozejrzały się między sobą i jednym głosem krzyknęły:

– Ali!... gdzie Ali!

Alego nie było! Woda spokojna już była u brzegu, a łódka przewrócona dnem do góry kołysała się w pewnym oddaleniu.

– Jezus, Maria, ratunku, ratunku – zaczęły krzyczeć z całych sił i szlochać dzieci. Olek, Nik i Rena, nie namyślając się, wskoczyli do wody i nieprzytomni z trwogi, drżący, w niepokoju zanurzali się raz po raz, obmacując rękami dno, szukając między splątanymi korzeniami drzew. Pozostali na brzegu Marta i Tom podnieśli wrzask i lament nie do opisania, bo zaiste rozpacz ich i trwoga nie miały granic.

Wtem spoza zakrętu wyspy wysunęła się ku dzieciom mała rybacka łódka, a w niej Wicek z przerażoną od posłyszanych krzyków twarzą. Wszystkie ręce wyciągnęły się ku niemu z rozpaczą.

– Wicku – wyszlochała Marta – nie ma Alego! Wpadł w wodę razem z nami i nie wypłynął, Boże!... Boże! – i rzuciwszy się na kolana, poczęła odmawiać pacierz.

W jednej sekundzie Wicek już był przy dzieciach.

– Tu wypadł z łódki! – krzyknął.

– Tu... w tym miejscu... wyróciliśmy się – wyszłochał Tom.

Wicek znikł pod wodą, chwilę nie było go widać, a gdy ukazał się, dzieci w niepomiernym zdumieniu ujrzały, że co sił w rękach płynie za łódką.

– Wicku – wykrzyknął Olek – tu Alego trzeba ratować! Co tam łódka! Wicku, co ty robisz! – i zamilkł, bo oto Wicek podpłynął do wyróconej łódki i znikł pod nią.

Straszna zapanowała cisza, a potem nagle ze wszystkich piersi wydarł się okrzyk radości! Na powierzchni wody ukazał się znowu Wicek, a w rękach jego omdlałe ciało Alego. Jeszcze parę chwil, a Wicek wyskoczył na brzeg i zabrał się do ratunku. Przerzucił sobie Alego przez kolano, twarzą do ziemi i potrząsnął nim z lekka. Dzieci milcząc, blade i drżące z trwogi, widziały jak z ust, z oczu, nosa Alego wylewały się potoki wody. Potem Wicek położył go na trawie, twarzą do góry, zawoławszy Olka do pomocy, ściągnął z Alego ubranie i szybko, a równomiernie począł podnosić i opuszczać chude, prawie błękitne rączki chłopca, który leżał bezwładnie z zamkniętymi oczyma.

– Rozcierajcie go, rozcierajcie! – krzyknął na dzieci, które ocknęły się, skoczyły i mokrymi rękami zaczęły z całych sił rozcierać skostniałe ciało chłopczyzny.

Trwało to przerażająco długo, dzieciom łzy spływały po policzkach, a Tom wykrzyknął z rozpaczą:

– On już przecież nie żyje! – ale właśnie w tejże chwili Ali otworzył oczy.

Wtedy nastąpiła taka radość, że niepodobna jej opisać: Tom

zaczął krzyczeć w niemożliwy sposób i tańczyć taniec dzikich ludzi. Marta rozplakała się jeszcze więcej, ale z radości, Nik nie mógł słowa przemówić, a Rena... w nieopisanej radości skoczyła Wickowi na szyję i ucałowała go.

Powoli Alemu wracała przytomność, roztarty i ogrzany słońcem zaróżowił się i długo patrzył zdziwiony na śmiejące się i skaczące ze szczęścia dzieci, całe mokre i oblepione własnymi ubraniami, z włosami przylizanymi na głowach i ramionach, ociekające i uszczęśliwione.

Był to widok arcykomiczny, toteż Ali, oprzytomniawszy zupełnie, roześmiał się serdecznie, Wicek również patrzył na to wszystko, śmiejąc się, aż mu łzy kapały po i tak już mokrej twarzy. Nie tracił jednak czasu; polecivszy dzieciom, by wyszły na słońce i suszyły się w jego promieniach, sam wskoczył do swej łódki i popłynął w pogoń za łodzią, która kołysała się na powierzchni wody, sprowadził ją na wyspę, przewrócił, wylał wodę, wsadził dzieci i ruszono do domu. Olek i Nik pomagali mu żwawo. Płynąc, wszyscy uśmiechali się pełni radości i jechali gotowi przyjąć z pokorą największą bodaj karę za popełnione nieposłuszeństwo, bo cóż znaczyła kara wobec tego, że Ali był z nimi – zdrów i cały.

Gdy po powrocie dzieci podobne do oskubanego stadka gęsi stanęły przed rodzicami i niepewnymi głosami opowiedziały, co zaszło – powstał zamęt! Ciocia Halszka zemdlała, matka pobladła jak płótno i pochwyciła Alego w ramiona, *mademoiselle* Lucette zaczęła krzyczeć i wylewać potoki łez,

pan Martin oglądał każde z dzieci po kolei, a ojciec bardzo chciał się gniewać, ale właściwie nie mógł. Zanadto się bowiem przestraszył i zanadto był Bogu wdzięczny za cudowne Alego ocalenie.

Wicek z początku został obdarowany pięknym ubraniem samego pana i suto nakarmiony frykasami, które klucznica obficie, aczkolwiek niechętnie zastawiła w kredensie.

Potem któregoś dnia przyjechali rodzice Alego i oznajmili rodzinie Wicka, iż ofiarują kawał ziemi z ładną zagrodą na przyszłe gospodarstwo dla zbawcy ich syna.

Do końca życia Wicek opowiadał szczegółowo o tym zdarzeniu, kończąc zawsze tymi słowami:

– Dostałem od jaśnie pana ubranie w kratkę, całkiem nowe i zielony krawat.

Życzliwym pokazywał niekiedy ów krawat.

Rozdział VII. Julcia

Ania dostała na imieniny mnóstwo ciekawych i pięknych rzeczy. Więc przede wszystkim niebywałych rozmiarów pudło łakoci, którymi obdarowała wspaniałomyślnie swe bliższe otoczenie. Następnie cały stos starych żurnali, z których wycinała lalki, tworząc całe rodziny, klany, narody papierowe. Potem kilka ogromnych ilustrowanych ksiąg, roczników pism, których ryciny kolorowała Ania z mniejszym powodzeniem niż zapałem. Poza tym szpica Pusia z różową kokardą i piłkę.

W końcu dostała trzy lalki; pierrota, kolombinę i Julcię.

Pierrot i kolombina zyskali ogólne uznanie. Nawet Olek, obracając w rękach śliczną, zgrabną lalkę o olbrzymich oczach i giętkich członkach, raczył zauważyć, że: „ten pierrot to wcale ładny”, a Nik roztkliwiał się nad białą, lekką jak puch kolombiną. Ale Julcia spotkała się z niechęcią i ostrą krytyką.

– Hapka jakaś czy Pryśka – rzucił pogardliwie Olek, wychodząc z dziecinnego pokoju.

– Nawet trochę podobna do Jewdochy – dodał Nik, idąc w ślad za bratem.

Tom poddał Julcię ściślejszemu badaniu.

– Dlaczego nazwałaś ją Julcią? Takie imię jak gdyby się masło roztopiło na słońcu! Fe! Obrzydliwość.

– Niania mi poradziła – rzekła srodze stroskana niepowodzeniem córki Ania.

– Z czegoż ona jest zrobiona?

– Właśnie – ożywiła się Ania nadzieją poprawienia reputacji swego dziecięcia – właśnie! Niania powiedziała, **ze** nigdy się nie **stłuce**, bo ciało ma wypchane **trlocinami**, a głowę **blasaną!**

– Ech! – rzekł powątpiewająco Tom.

– Na pewno – krzyknęła z mocą Ania – zapytaj niani.

– Gdyby koń na nią nadeptał, stłukłaby się – zawyrokował Tom, pukając palcem w rumiany policzek Julci, która zdawała się z tego zadowolona i szczyrzyła białe malowane ząbki.

Ania zadumała się, szukając w myśli sposobu uchronienia zagrożonej córki przed tak straszną ewentualnością. Tom zaś, skonstatowawszy, iż pod różową, atłasową sukienką znajdują się kremowe, twardo wypchane członki, rzucił nietłukącą się Julcię na dywan i poszedł w ślady starszych braci.

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.